

## **Janusz Kozłowski - uczestnik Powstania Warszawskiego**

**Artykuł z gazetki szkolnej ze spotkania dn. 16.10.2004 r. z młodzieżą szkolną i nauczycielami Liceum Ogólnokształcącego im. K.I. Gałczyńskiego w Otwocku.**

### **Wydarzenie I**

Siódmy września 1939. Niemiecki zagon pancerny zbliżał się do Warszawy. Na wezwanie płk Umiastowskiego do opuszczenia stolicy przez mężczyzn zdolnych do noszenia broni, ruszyła cała rzeka ludzi, a z nimi masa uciekinierów. Byłem wśród tych ludzi i ja, świeżo upieczony maturzysta z Gimnazjum i Liceum i. Adama Mickiewicza. Szliśmy na północ w kierunku Mińska Mazowieckiego, przy czym część uchodźców skręciła w prawo, w szosę lubelską. Moja grupa poszła prosto.

Jeszcze koło Wawra zostaliśmy ostrzelani z broni maszynowej przez niemieckie bombowce wracające z nalotu na Warszawę. Obyło się, więc bez bomb. Ale byli zabici i ranni. Koło wsi Dębe Wielkie odpalało nas siedem messerschmitów. Każdy chronił się gdzie mógł, między innymi w szczątkach rozbitego bombami pociągu. Ostrzał nie przyniósł ty m razem strat. Samoloty odleciały, ludzie zaczęli wychodzić ze swych kryjówek. I wtedy nadleciał tylko jeden tylko mesesserschmit i znowu zmusił uchodźców do krycia się.

W pewnym momencie chłopczyk, może sześciu, może siedmioletni wyrwał się matce i zaczął uciekać po odsłoniętym, trawiastym terenie. Pilot musiał dokładnie wiedzieć, że to nie ten obiekt wojskowy, tylko dziecko, a jednak zniżył lot oddał serię w kierunku malca. Opiewać chybił, zatoczył łuk i lecąc tuż nad ziemią, ściął chłopca następną serią.. Potem odleciał. Gdy podbiegliśmy do dziecka, było białe jak gipsowa figurka. Całkiem wykrwawione. Matka była nad poległym.

### **Wydarzenie II**

Środek okupacji. Grudzień 1942. Mieszkając przy ul. Wilanowskiej, blisko Wisty, udałem się w jakimś interesie nad odchodzącą od Czerniakowskiej ul. Fabryczną. Gdy wracałem nagle rozległy się wrzaski: "Halt! Halt!". Wiadomo było, co to znaczy. Każdy chronił się gdzie mógł. Na szczęście nie było wówczas domofonów i domowych fortec pozamykanych na dziesięć spustów i w każdej kamienicy można się było schronić do bramy lub na klatkę schodową.

Jednak po krótkim czasie zorientowaliśmy się, że to nie o nas chodzi. Niemcy schwytali żydowskiego chłopca, który przekradł się z getta na tak zwaną "aryjską stronę", chcąc wyżebrać dla siebie i dla swoich bliskich choć trochę jedzenia. Niestety został rozpoznany. Trzej żandarmi prowadzili go, a podnieceni widownią popisywali się kopaniem i obelgami. W pewnym momencie feldfebel wyciągnął z kabury parabellum i strzelił do dziecka. Upadło, ale jeszcze żyło. Wtedy Niemcy w jakimś potwornym napadzie okrucieństwa zaczęli wbijać małe ciało w chodnik podkutymi saperkami. Szybko ofiara przestała się ruszać. A my mogliśmy tylko patrzeć. Każda reakcja oznaczała przecież śmierć.

### **Wydarzenie III**

Ósmy września 1944. Powstanie Warszawskie. Mój batalion stacjonował w gmachu Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Lwowskiej. Zostałem przez dowództwo wysłany z jakimś ważnym meldunkiem na Plac Napoleona (dziś Powstańców Warszawy) do dowództwa powstania, które kwaterowało wówczas w

podziemiach Prudntialu. Był to spory kawał drogi, w dodatku najeżony różnymi trudnościami i niebezpieczeństwami, więc trwało to dłuższy czas.

Przeszedłem szczęśliwie stale rozbijany przekop Al. Sikorskiego (Aleje Jerozolimskie) i dotarłem na miejsce przeznaczenia. Szybko oddałem meldunek i udałem się w drogę powrotną. Przy ul. Zgoda usłyszałem, wraz z innymi ludźmi przemierzającymi się w tym rejonie, odgłos odpalania "krowy", sześciolufowego miotacza pocisków kruszących i zapalających. Schroniliśmy się do bramy. Gdy pył opadł, każdy poszedł w swoją stronę. I wtedy właśnie znalazłem, tak, dosłownie znalazłem na ulicy małą dziewczynkę, zapłakaną, umorusaną i całkowicie zagubioną. Początkowo nie chciała ze mną rozmawiać, wyraźnie bojąc się. Zdołałem w końcu dojść z nią do porozumienia. Dowiedziałem się, że ma na imię Lisia i że ma pięć lat. Z tego co wynikało, że gdy poszła do koleżanki do sąsiedniego domu, ich kamienica została zbombardowana i zginęli w niej rodzice i wszyscy bliscy.

Pomyślałem, że przecież nie można pozostawić dziecka samego i zdecydowałem się zabrać je ze sobą na Lwowską, gdzie mogą się nią zająć sanitariuszki i łączniczki. Wziąłem więc małą za rękę i poszliśmy. Przez część drogi musiałem ją nieść. Była słaba i głodna. Przed przejściem przez Aleje zjedliśmy trochę sucharów jakie miałem w kieszeni.

Przedostanie się na drugą stronę przekopu odbyło się prawie bez konfliktowo, ponieważ pocisk z działka, który uderzył w przekop wybuchnął gdy byliśmy po drugiej stronie. Poszliśmy Kruczą, potem Wilczą, na której paręset metrów przed nami uderzyła "krowa", a na rogu Marszałkowskiej "gołębiarz" (pozostały na terenach zajętych przez powstańców niemiecki strzelec wyborowy). Zastrzelił blisko nas mężczyznę. Przemierzwszy odcinek Marszałkowskiej zmierzaliśmy Koszykową ku bliskiej już Architekturze. I wtedy Lisia upadło. Myślałem, że się potknęła, ale nie, na przybrudzonej różowej, sukience pojawiała się rosnącą z przerażającą szybkością ciemną plama.

Porwałem dziecko na ręce i pędem pobiegłem na Lwowską do mieszczącego się tam w piwnicach szpitala "Sano". Nie zdołałem dotrzeć na miejsce, Lisia zmarła.

Sądzę, że strzelający wziął nas za ojca i córkę i w swym okrutnym bestialstwie wybrał małą za cel.

Zasadziłem się więc z dwoma chłopcami na Niemca i dopadliśmy go na jednym ze strychów wysokiej kamienicy. Gdy uciekał po dachu, zestrzeliłem go z niego. Spadł na podwórze. Cóż z tego, kiedy Lisia nie żyła.